



Nr 17.

Warszawa, dnia 12 (24) Kwietnia.

Rok 1875.

Rozumna nauka.

Wiktorek z Zosią siedzieli przy śniadaniu, i Wiktorek łyżeczką rozlewał mleko po stole rozprawdzając go palcem, a Zosia wykruszała ośrodek z bułeczki, krzywiąc się że niesmaczny. Kiedy nie dopiwszy mleka i bułeczki nie zjadłszy dzieci wstały od stołu, dawna służąca Elżbieta aż się chwyciła za głowę, powiadając że ogromnie nabrzydzili.

Później zaczęli się bawić w gości, i Wiktorek wydobyl dwa jabłka a Zosia kilka cukierków i częstu-

z masłem, Ojciec po pierniku gdy wrócił do domu, gdy więc dzieci usiadły do obiadu wszystko im nie smakowało: zupa szczawiowa była nie kwaśną, mięso zbyt wygotowane, pieczeń za twarda, jarzyna nie słodka, do zupy i sosu nakruszyli chleba, mięso i pieczeń pokrajali w kawałki, jarzynę rozbabrali na talerzu, dość że wszystkiego skubnęli tylko po troszku i powiedzieli, że cały objad był bardzo niesmaczny.

— Co ten Wiktorek z Zosią dokazują, to aż zgroza!—zawołała Elżbieta zbierając talerze. Żeby psuć tyle jedzenia.

— Kiedy tego jeść nie można bo niesmaczne, odrzekła Zosia.



Ojciec wyciągnął rękę do zasmuconej buzi Zosi.

jąc się wzajemnie, więcej nastrugali łupin i nakruszyli cukierków choć były bardzo smaczne, jak zjedli.

Elżbieta znowu za głowę się ujęła, zobaczywszy podłogę zabarżoną.

— Ach! jak niszczyte to jedzenie, zawołała Elżbieta. Nie jeden biedak palce oblizywałby po tem co wy psujecie i odrzucacie.

W godzinę później Ciocka przyniosła dzieciom ciastek, Mama jak zwykle dała po kawałku chleba

— Oj! niesmaczne, niesmaczne dla Zosi ale nie jeden biedak toby palce oblizywał gdyby miał to co jeść nie cheesz.

— A co Elżbiecie do nas?—zapytał Wiktorek.

— Wiele, bardzo wiele. Bo ja mój Wiktorku jeszcze u twoich Dziadków służbę pełniłam, z Rodzicami waszemi prawie się wychowałam, więc ich kocham i radabym żeby ich praca nie marnowała się

wy zaś ją marnujecie że aż się serce kraje, a pracę każdą tymbardziej Rodziców należy szanować.

— Ej! taka mała rzecz jak tę troszkę jedzenia, to co to znaczy!—odezwała się Zosia, a Wiktor ek dodał:

— Jąbym i bez obiadu mógł się obejść.

— Póki by go nie dali — mruknęła Elżbieta.

— I ja to samo, z łatwością bez obiadu mogłabym się obejść, dołożyła Zosia. Bo co to jedzenie? Mnie się nigdy jeść nie chce.

— I mnie to samo, potwierdził Wiktor ek, drudzy skarżą się na głód, a ja nie wiem nawet co to jest być głodnym.

— Ach! jakże chciałabym być choć raz w życiu głodną!—domówiła Zosia.

Elżbieta westchnęła, pokręciła głową i rzekła:

— Oj! za dobrze wam, za dobrze, i dla tego nie umiecie cenić wygod jakimi was darzą Rodzice.

— A w czymże nam tak za dobrze?—zapytały dzieci.

Czy to my mamy jakie bogate ubrania, czy jakie wyszukane potrawy, czy jeździmy karetami jak Anielka? Jej to może za dobrze, ale nam to tak jak wszystkim.

— Oj! nie moje dzieci, powiadam że wam za dobrze, gdybyście poznały jak to zle być głodnym i siedzieć w nieopalonym pokoju, tobyście zrozumiały jak winniście dziękować Bogu, za to wszystko co ze starania waszych Rodziców posiadacie.

— Ach! jaka Elżbieta nudna! szepnęła Zosia.

— Tak, nudna jestem, bo prawdę mówię.

— Nudna Elżbieta, nudna, nudna! krzyknął Wiktor ek i wybiegł do drugiego pokoju a za nim poskoczyła Zosia.

Na drugi dzień kiedy się dzieci obudziły, był mróz dość dobry na dworze że aż szyby w oknach pokryły się lodem.

— Ach! jakie tu zimno, zawołał Wiktor ek, wychylając się z pod kołdry.

— Prawda, mnie w nos aż szczypie, dołożyła Zosia.

— A i mnie to samo, uszy mi jak kość zmarzły—odezwał się Wiktor ek.

— Dla czego Elżbieto, nie napaliłaś w piecu?—zapytała Zosia.

— A bo drzewa nie ma, a pan nie ma pieniędzy na kupno nawet wiązeczki.

Dzieci spojrzały po sobie i rade nie rade zabrały się do ubierania. Przy śniadaniu Mama im powiedziała, że na dziś będą się musiały obejść małą szklaneeczką mleka, a obiadu być bardzo może że nie dostaną, bo Ojciec dopiero poszedł wystarać się pieniędzy gdyż w domu nie ma ani grosza.

Dzieciom choć miały uszy i nosy zmarznięte, ale się w tej chwili rozgrzały tak im jakoś na tę wiadomość gorąco się wewnątrz zrobiło. Zasiadły więc smutne do śniadania i Zosia nie wykruszała już ośrodka z chleba bo bułeczek nie dostały, a Wiktor nie kapał po stole mlekiem tylko wypił wszystko do ostamiej okruszyny.

— Jąbym jeszcze zjadł, szepnął do siostry.

— I ja to samo, dołożyła Zosia.

— Brrun! jak tu zimno, mruknął Wiktor ek.

— A mnie to w ręce kłuje jak śpilkami, zawtorowała Zosia.

W godzinę potem dzieci przechodząc się od kąta do kąta, zaczęły piszczeć że się im jeść chce bardzo.

— Gdyby choć kawałek chleba Mateczko, prosiła Zosia.

— Nie ma ani kawałeczka, odrzekła Mama, czekajcie, jeżeli Ojciec wystara się pieniędzy, to się obiad ugotuje.

— A jak się nie wystara?—zapytał Wiktor ek.

— To nie będziemy jedli obiadu, odrzekła Mama.

— To my nie wytrzymamy i umrzemy z głodu, odezwała się Zosia z minką skrzywioną do płaczu.

— Nic wam nie będzie, jeden obiad to nie nie znaczy.

Dzieci skwaszone usiadły w kąci i smutnie wzdychając usnęły siedząc przytulone do siebie. Kiedy się obudziły, zobaczyły Ojca siedzącego przy stole bardzo zadumanego.

— Ach Ojcie, zawołały biegnąc do niego, my takie głodne, dobrze że Ojciec przyszedł.

— Ale cóż z tego, kiedy się nie wystarałem pieniędzy, i obiadu nie będzie za co ugotować.

— Ach! Ojcie, a my takie głodne.

— Do wszystkiego się można przyzwyczaić, nawet do głodu. Było nam wszystkim za dobrze, trzeba nam i złego skosztować. Wreszcie powiedziałyście, że się bez obiadu możecie z łatwością obejść.

— Tak to prawda, ale....

— Powiedziałyście także, że jedzenie nie nie znaczy, że nie znacie co to być głodnymi, trzeba więc dziś obejść się bez obiadu a na jutro może co obmyśle.

— Ja jutra Ojcie nie doczekam, z płaczem odezwała się Zosia.

— O! i ja Ojcie to samo, szepnął z westchnieniem Wiktor ek.

— Jąkto, to wy na prawdę jesteście głodnymi?

— Na prawdę Ojcie, na prawdę, odrzekły razem dzieci, i chłodno nam i głodno i tak jakoś smutno, że nam ciągle się na płacz zbiera.

— Nie płacz Zosiu, nie płacz, odezwał się Ojciec, biedzie tej waszej może się jako zaradzi.

I mówiąc to Ojciec wyciągnął rękę do zasmuczonej buzi Zosi, a w tej chwili we drzwiach pokazał się służący z wazą zupy i Wiktor ek poskoczywszy ku niemu zawołał z wielką radością wyciągając ręce:

— Ach! waza, waza, będziemy więc obiad jedli!

Obiad był skromniejszy jak zwykle, mimo tego dzieci wygłodzone jadły go z wielkim apetytem, wszystko chwaliły, wszystko im smakowało, a co najważniejsza nie robiły odkrawków i zjadły wszystko co na talerze im dano. Przytem w piecu bużował się ogień suty, iskry trzaskały, a dzieci nie mogły się nim dosyć nacieszyć.

— To Rodzice z nas tylko zażartowali?—zapytały potem czując ciepło i nasycenie.

— Tą razą był to tylko żart, odrzekł Ojciec, ale w życiu ludzkim może się różnie przytrafić. Gdy wyjdziecie z pod naszej opieki i zaczniecie same na siebie pracować, to może wam nie będzie tak dobrze jak w domu i braknie nie jednej wygody. Trzeba więc od młodego wieku przyzwyczajać się do skromnego życia, i cieszyć się tem co macie, a bieda nigdy wam nie dokuczy. Do dobrego łatwo się przyzwyczaić, ale często tym co bywa za dobrze za młodu, w późniejszych latach zdarza się złego kosztować, trzeba więc na wszystko być przygotowanym.

— Ach! mój Ojczusiu jak my Ojca kochamy, zawołały dzieci całując Ojca w rękę, że tak rozumna dał nam naukę.

Dla Józki K.

Władysław. Aby zabawić Józeczkę,
Powiem jej małą bajeczkę.
Józka zawsze od rana,
Bywa zapłakana;
Nie wita dniem dobrym Taty,
Nie pije grzecznie herbaty,
I o sucharek nie prosi,
Lecz z gniewem chce go od Zosi.
Co tylko weźmie to zgubi,
Uczyć się wcale nie lubi.

Ojciec. Czy to prawda? niech powie Józeczka.
Józka. Nie Tatko, to tylko bajeczka.

Podarunek.

Przyjazd Wujka zawsze był wielką radością dla Zosi i Bołcia, gdyż Wuj bardzo swoich siostrzanów kochał i lubił z nimi bawić się i rozmawiać. Mama także wiele się cieszyła z przyjazdu brata i jak tylko go powitała, zaraz zasadzała w dużym krześle żeby po drodze wypoczął i opowiedział czy zdrow jest i co się u niego dzieje.

Raz przyjechałszy przywiózł Bołciowi bęben którym chłopczyk bardzo się ucieszył.

Zosia spodziewała się równie jakiego podarunku, ale Wój widocznie nie dla niej nie miał, bo zasiadł przy Mamie i zaczął rozmawiać. Bołcio usiadł na ziemi i bęben postawił przy sobie oglądając jak wygląda i jak jest zrobiony. Zosia stała tuż przy nim i z miną cokolwiek smutną przyglądała się podarunkowi. Spozstrzegł to Bołcio i przykro mu się zrobiło, podszedł więc ku Wujowi i rzekł:

— Mój Wuju.....

— Później będziemy z sobą rozmawiać, przerwał Wuj a Mama dołożyła:

— Odejdź Bołciu, nie przeszkadzaj.

Bołcio odszedł i podsunąwszy się ku Zosi szepnął jej.

— Nie smuć się Zosiu, już ja się spytam Wujka dla czego o tobie zapomniał.

I Bołcio przytuliwszy się do Zosi siedział spokojnie kiedy niekiedy tylko gładząc siostrzyczkę po buzi. Wreszcie Wuj przybliżył się do dzieci i zapytał:

— O cóż to Bołciu chciałeś się zapytać?

Zosia pociągnęła Bołcia za sukienkę żeby nie mówił.

— A kiedy Zosia mnie szarpie żebym jej nie wydał, odrzekł Bołcio, to jakże mam powiedzieć.

— A o cóż ci to idzie Zosiu? zapytał Wuj.

Zosia coś mruknęła, zająknęła się ale milczała. Wreszcie ośmielona dobrocią Wujka rzekła.

— To już powiedz Bołciu, ale ja jak Rodziców kocham, tak ani słówka nie mówiłam.

— Tak Wuju, nie mówiła, odezwał się Bołcio, ale ja zmiarkowałem że jej przykro, iż Wuj mnie przywiózł bęben a jej nie.

— Owszem i jej przywiózłem..... radę, szczególnie dobrą radę.

— A to jaką? spytały dzieci.

— Uderz w bęben pałkami, odezwał się Wuj.

Bołcio grzmotnął że aż Zosia zatkała uszy.

— Cóż, huczy?

— Oho! i jak, Zosia aż się zlekła.
— A wiesz dla czego bęben taki hałaśliwy?
— Bo..... bo..... nie wiem Wuju.
— Oto dla tego, że wewnątrz pusty, patrz nie w nim nie ma.

I Wuj podniósł skórę bębna pokrywającą i pokazał że pusty.

— A prawda, odrzekły dzieci i uśmiechnęły się.

— A teraz dajcie mi książek kilka, choćby te co Mama czyta, czy wiecie co w nich się znajduje?

— Ej! nie wiemy Wuju, tylko to wiemy że bardzo mądre, bo je Mama zawsze chwali.

— Otóż takie najlepsze: włóżmy je w środek bębna i dobrze utkajmy żeby był pełny, a skórę naciągnijmy na niego.

Kiedy to zrobiono, Wuj kazał znowu Bołciowi uderzyć pałeczkami po wyciągniętej skórze.

— Teraz nie nie huczy, odezwał się Bołcio, dla czego to Wuju?

— Dla tego że nie pusty, odrzekł Wuj. To co z tym bębnem, to samo dzieje się z chłopczykami i dziewczynkami, co to im się zdaje, że bardzo wiele umieją i głośno przechwalają się swoim rozumem. Huczają więc jak ten bęben, bo u takich pustki w głowie. Chłopczyki zaś i dziewczynki co na prawdę dobrze uczą się i mają w głowec naukę, to są jak bęben napełniony książkami rozumnymi, zwykle ciszi, nie hałaśliwi, nie przechwalający się, bo nauka uczy skromności i pokazuje jasno, że im człowiek więcej umie, tym lepiej pojmuje, że mu się uczyć jeszcze więcej trzeba. Cóż zrozumieliście?

— O! zrozumieliśmy, odrzekł Bołcio, ja też nigdy nie będę bębnem co huczy bo pusty.

— I ja nim także nie będę, dołożyła Zosia.

— Bardzo mnie to cieszy, odrzekł Wuj, a teraz z tobą Zosiu pogadamy.

— Ach! jak to mnie cieszy, odrzekła Zosia, tak lubię słuchać jak Wuj mówi.

— Otóż widzisz Bołciowi przyniosłem bęben żeby mu pokazać, jak to brzydko być zarozumiałym, czyli przekonanym że się jest bardzo rozumnym. Jest to wada, z której wszyscy skrycie śmieją się wyszydają i wytykając palcami nazywają takich bardzo brzydko..... bo aż głuptasami. Najczęściej czepia się ona chłopczyków i potem jak z nią urosną, tak się od niej odczepić nie mogą i stają się posmiewiskiem wszystkim rozumnych ludzi, a to straszna rzecz pomyśleć nawet o takim z siebie urągawisku.

Dzieci spojrzały na Wujka i pocałowały go w rękę, przyrzekając jeszcze raz, że starać się będą nigdy nie uleść takiej wadzie. Wuj uściskał je i mówił dalej:

— Zosiuni kochance, nie dałem żadnego podarunku, żeby ją nauczyć cierpliwości i cierpienia się radością tych których kocha. Dziewczynki takimi zawsze być powinny, ciche, spokojne, nie zazdrosne i starające się aby ci co ich kochają zawsze byli weseli i szczęśliwi, choćby sami z tego nie korzystali. Bołcia cieszy mój podarunek z bębna, a wiem że i Zosia tem ucieszona choć sama nie dostała.

— O! bardzo Wuju, bardzo.

— Przyjmij więc tę radę jako podarunek, czy jesteś z tego rada?

— Zupełnie mój Wuju, bo będę patrzyła na Bołcia jak się bawić będzie bębnem to i mnie to ucieszy że on się raduje.

— Razem się będziemy bawić, odezwał się Bolcio, i jeżeli Wuj pozwoli, to ten podarunek nie będzie moim, tylko i moim i Zosi.

— Bardzo chętnie pozwalam ci na to, odrzekł Wuj, bo jeżeli dziewczynki powinny umieć się cieszyć radością innych, to chłopcy powinni być skłonni do ofiary z siebie dla dobra drugich a szczególnie też rodzeństwa.

Jeżeli te rady jaką wam dałem zachowacie na całe życie i będziecie podług nich postępować, to będziecie dobrymi dziećmi, kochanymi przez wszystkich a później dobrymi ludźmi którym Bóg zawsze błogosławi.

— Dobrze Wujciu kochany, odrzekły dzieci i prosimy zawsze o takie podarunki bo takie najlepsze gdyż na zawsze w głowie pozostaną.

Mama — Założy fabrykę stolarską żeby mebli nie sprowadzano z zagranicy, bo on równie dobrze nauczył się robić.

Janek — A z kądże wezmie na fabrykę pieniędzy?

Mama — Taki pracowity i oszczędny jak on człowiek, a przytem zdatny i umiejący to zawsze znajdzie pomoc, kredyt albo współnika.

Stara się też o to i Ojciec przyrzekł mu pomoc, a wiedząc ile taki pracownik przyniesie całemu krajowi korzyści, nazwał go zacnym i uczciwym człowiekiem.

Janek — Ach! Mamo to i ja zostanę stolarzem.

Mama — Bardzo dobrze, ale nie sądź że jakimkolwiek rzemieślnikiem dobrym łatwo zostać. Par-taczem byle kto być może, ale dobrym to praca, wielka praca, trzeba do tego i naukę mieć w głowie, i wprawę w rękę do roboty, aby to co głowa pomyśli ręka zrobiła.



Bolcio usiadł na ziemi, Zosia stała tuż przy nim.

Rozmowa z Mamą

Janek — Co to za pan był u nas, co go Ojciec tak serdecznie całował i nazywał zacnym i uczciwym człowiekiem?

Mama — To stolarz pan X. przez trzy lata był uczniem przy warsztacie stolarskim, potem czeladnikiem i oszczędziwszy trochę pieniędzy bawił za granicą trzy lata, żeby się jeszcze lepiej wyuczyć stolarstwa.

Janek — Aż trzy lata, to musiał wiele mieć pieniędzy.

Mama — Bardzo mało, bo czeladnik stolarski wiele oszczędzić nie może, ale umiając rzemiosło, pracował przy różnych fabrykach zagranicznych, zarabiał więc i tym sposobem uczył się, przyglądał i mógł przez trzy lata bawić między obcymi ludźmi.

Janek — A jak się z nimi rozmawiał?

Mama — Po niemiecku albo po francuzku; w młodych latach nauczył się tych języków, bo mając zostać stolarzem wiedział, że bez nich nie dałby sobie rady za granicą.

Janek — A cóż on teraz będzie robił?

Janek — Kiedy tak, to jeszcze z większą ochotą zastanę rzemieślnikiem, bo ja lubię się uczyć.

Zawstydzony Pyszałek.

— Czemu mi się nie kłaniaasz? — rzekł do Bartka Kocio, Jestem przecie paniczem, będę panem z panów, Mieszkam za wsią w pałacu z Wujaszkiem i Ciocią, Gdy wyrosnę zostanę dziedzicem tych łąnów; Zresztą dość ci mieć oczy: spójrz na me ubranie, Jak piękne i jak drogie — twe brzydkie i tanie. Na to Bartek mu powie: „Nie będę czapkował, Twoje, Ciocia kupiła — jam me zapracował.“

Laskarys.

ZAGADKA

Drzewo jestem, i noszę maleńkie kochanie,
Płacz i niemoc znajdują we mnie pomieszkanie;
Mieszkańcem i mieszkaniem dłoń przychylna włada,
I nie wiedząc czem zostanę zawsze mi jest rada.